

10-12

Legenda o lęborskich żabkach

Był wieczór, zapalono uliczne latarnie. W małym domku przy ulicy Warszawskiej rozpalono w kominku:

- Mamo, opowiesz nam bajkę?

- Uważam, że jesteście już za duże na bajki. Opowiem wam legendę. Wiecie co to legenda?

- Ja wiem! Legenda to taka bajka, w której jest ziarno prawdy. Pani w szkole nam to wyjaśniła.

- Zgadza się. Ale pewnie nie znacie legendy o lęborskich żabkach? Tych, obok których przechodzimy w drodze do babci i dziadka.

- Nie... nie znamy. Opowiesz nam?

- Oczywiście. Otóż legenda mówi, że kiedyś nie było żabek. Była tylko fontanna. Kazał ją wybudować burmistrz Lęborka, ale to inna historia.

Wiele lat temu na odpust do Lęborka przyjechał panicz z bardzo daleka. Był bogaty i bardzo przystojny. Gdy przechadzał się po ulicy Staromiejskiej jego uwagę zwróciło osiem dziewcząt rozmawiających przy fontannie.

Dziewczęta były siostrami i przyjechały z pobliskiej wsi wraz z ojcem na odpust. Po stroju panicz poznał, że są Kaszubkami. Każda miała na sobie czerwoną spódnicę za kolana, czerwony gorset związany złotą wstążką i śnieżnobiały fartuszek w czerwone, żółte i niebieskie kwiatki. Ich długie, jasne włosy zaplecione były w staranne warkocze, a na głowach miały wianki uplecione z polnych kwiatów.

Panicz spędził z nimi całe popołudnie. Dziewczęta opowiedziały mu dużo o okolicy, o pięknych lasach pełnych dzikiej zwierzyny i jeziorach pełnych ryb. Z zachwytem w głosie opisywały tafłę wody czystej, jak letnie niebo, słoneczne pagórki i zacienione doliny, romantyczne zachody słońca, oraz morze... Z jednej strony bezkresne i piękne, o szmaragdowej wodzie i delikatnej, spokojnej fali, z drugiej strony niebezpieczne, groźne i nieprzewidywalne podczas burzy i wichury.

Panicz słuchał tych opowieści z zapartym tchem i zakochał się w tej cudownej krainie i uroczych dziewczętach.

Nazajutrz zapragnął ponownie zobaczyć piękne panny i posłuchać ich opowieści. Poprosił o spotkanie przy fontannie. Cały wieczór siostry kłóciły się o to, którą z nich młodzieniec będzie chciał wziąć za żonę, a on czuł, że jest zakochany, ale nie wiedział, w której z sióstr.

W drodze do miejsca, w którym nocował ujrzał księżyc.

- Och, cóż mam począć, skoro nie wiem, którą siostrę wybrać? – spytał sam siebie.

W nocy przyśnił mu się bardzo dziwny sen. Stał przy fontannie razem z pięknymi Kaszubkami. Nagle wszystkie przemówiły jednym głosem:

- Musisz się zdecydować... Musisz podjąć decyzję...

Wtem głos umilkł, a siostry przeszły przerażającą przemianę. Ich skóra stała się oślizgła i zielona, a włosy chowały się w głąb czaszki, między ich palcami pojawiły się błony, a one same zmały. Po chwili zamiast pięknych sióstr stało przed nim osiem żab. Żaby wskoczyły na fontannę, a panicz usłyszał głos:

- Zdecydowałeś się?!

- Nie... nie wiem...- bił się z myślami.

- Zostaną one zaklęte w tej postaci dopóty, dopóki się nie zdecydujesz! - odparł stanowczo tajemniczy głos.

Później rozległ się huk i panicz obudził się zlany potem. Na szczęście to tylko sen - pomyślał i wybrał się na spotkanie z dziewczętami.

Gdy młodzieniec dotarł na miejsce, gorzko zapłakał. Przepowiednia ze snu spełniła się i zamiast ośmiu pięknych sióstr, ujrzał osiem żabek na fontannie i osiem wianków pływających po wodzie.

Panicz nie zdecydował się po dziś dzień, a co noc cierpi z powodu krzywdy, którą wyrządził pięknym Kaszubkom.

- To koniec? Czy one na zawsze zostaną żabkami?

- Nie, to nie koniec. Posłuchajcie dalej...

Pewnego dnia przez Lębork przejeżdżała wróżka, ale nie taka, która ma skrzydła i czarodziejską różdżkę, ale taka, która wróży z kart albo z kuli. Wróżka była bardzo mądra i gdy tylko zobaczyła fontannę z żabkami wiedziała, co się wydarzyło.

Zrobiło jej się żal pięknych sióstr, ponieważ one nic nie zawiniły i skupiwszy całą swoją moc sprawiła, że w rok przestępny, 29. lutego o północy znowu powrócą do swych ludzkich postaci i będą pięknymi dziewczętami. Niestety jeszcze przed świtem staną się na powrót żabami zdobiącymi fontannę na ulicy Staromiejskiej w Lęborku. Taki ich smutny los.

- Ojej!

- Tak, ale teraz marsz do łóżek! Już dawno powinnyście spać.

- Dobrze, ale mamusiu, czy to naprawdę tak wyglądało?

- Któż to wie? Ale z drugiej strony każda legenda kryje w sobie ziarnko prawdy. A teraz, zmykaj. Dobranoc!

Uliczne latarnie wciąż oświetlały ulicę Warszawską, ale w małym domku ogień w kominku powoli wygasał. Za to na ulicy Staromiejskiej dokładnie o północy osiem pięknych dziewcząt ruszyło w swój wyjątkowy tan.

AZUZ

Kora 10-12

"O rybaku i syrenie"

Bardzo dawno temu, w niewielkiej osadzie rybackiej, która nazywała się Stilo, zdarzyło się coś niesamowitego.

Słońce mocno prażyło piasek. Na wiosennym niebie nie dało się ujrzyć ani jednej chmurki i nic nie zapowiadało, aby pogoda miała się zmienić.

Młody rybak o imieniu Mateusz stwierdził, że okoliczności sprzyjają udanemu połowowi. Przygotował więc sieci, których miał zamiar użyć, wziął ze sobą trochę jedzenia oraz szczyryk, który brał ze sobą zawsze i wszędzie. Nie raz zdarzało się bowiem, że rybacy z okolic nie wracali z morza nawet cały dzień. Odcumawał swą łódkę i wyruszył.

Gdy oddalił się od lądu około dwóch kilometrów, zarzucił sieć poraz pierwszy. Po chwili oczekiwania wyłowił ją z wody. Niestety, nie wpadła do niej ani jedna ryba. Oddalając się o kolejne pół kilometra, znów spróbował swych sił. Jak się okazało, ani ta, ani wiele następných prób, nie dawała żadnych rezultatów. Chłopak, gdy dotarł już na głębokie morze, a zewsząd nie było widać lądu, odczuł znurzenie wielogodzinną pracą. Zjadł więc szybko pajdę chleba ze smalcem. Po posiłku jego oczy zaczęły się kleić. Przez chwilę walczył sam ze sobą, jednak po krótkiej chwili usnął kołysany przez fale.

Jego sen był głęboki, długi i spokojny. Słyszał w nim iście anielski głos, delikatny i jedwabisty, który ostrzegał go przed jakimś niebezpieczeństwem. Mateusz wsłuchiwał się weń, gdy nagle zbudziły go przerażające hałasy. Gdy otworzył oczy, nie wiedział, gdzie się znajduje. Ujrzał burzę tak straszliwą, że serce stanęło mu w piersi. Pioruny ciskały coraz bliżej. Rybak rozpaczliwie próbował zapanować nad łódką, jednak na marne, roztrzaskała się o jedną ze skał, a chłopak targany przez fale, starał się utrzymać na powierzchni. Prędko jednak okazało się, że młody mężczyzna nie ma wystarczającej siły w mięśniach i zaczął opadać na dno.

Gdy odzyskiwał pomału przytomność, słyszał ten sam piękny głos co wcześniej. Mówił mu *"Spokojnie, mój kochany, nie przejmuj się! Zaopiekuję się tobą, obiecuję!"*, a on, choć nie wiedział kto to, czuł się bezpieczny. Z czasem zaczął wyraźnie widzieć kobietę, która płynąc, obejmowała go. Była piękna, miała długie, faliste, kasztanowe włosy, duże, bursztynowe oczy i różowe usta. Rybak dziwił się, co robi tutaj, na środku morza. Po chwili na wskutek wszystkich tych emocji, znów usnął.

Kiedy się obudził, leżał na brzegu. Trwało pogodne popołudnie. Rozmyślał dużo o tym co się mu przydarzyło. Zastanawiał się, czy była to prawda, czy tylko złudzenie. Po chwili namysłu stwierdził, że choć byłaby to piękna i niesamowita historia, to musi się pogodzić z faktem, iż mu się przyśniła. Jego serce wierzyło, że dziewczyna, którą ujrzał, była prawdziwsza niż on sam, lecz on wolał pojsć za głosem rozsądku.

Postanowił, że mimo tego straszliwego wypadku, wyruszy na kolejny połów. Nie miał co prawda łodzi, lecz ludzie ze wsi chętnie pożyczili mu swoją. Wyruszył na połów, a gdy oddalił się niedaleko od brzegu, znów usłyszał anielski głos. Czuł, że prowadził go wprost do siebie, choć brzmiało to nielogicznie. W końcu jego łódź stanęła. Mateusz spojrzał w dół, a tam zobaczył tę samą piękność. Tym razem mógł

obejrzeć ją całą. Okazało się, że zamiast nóg, posiadała ogon.

- A więc jesteś mój drogi.- powiedziała do niego czule, a po chwili dodała-Zapewne dziwi cię mój wygląd, może nawet i przeraża...

-Ależ skąd!-odrzekł nagle- Jesteś najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek w moim życiu widziałem.

- Nazywam się Esta- odpowiedziała zarumieniona- co w języku morza oznacza światło. Przysłała mnie tu królowa mórz, Jurata. Kazała ona nam, syrenom, chronić wszystkich marynarzy i rybaków przed śmiercią w morskiej toni. I właśnie dlatego chcę prosić cię o pomoc.

- W jakiej sprawie, moja droga?

- Otóż, ja mogę pomóc innym, naprowadzając ich na ląd swym śpiewem. Jednak niektóre syreny nie słuchają rozkazu Juraty i zwabiają podróżników w swe sidła, aby plądrować ich statki, lub specjalnie kierują marynarzy na skały, gdyż cieszą się cierpieniem ludzkim. Jeżeli ktoś w swym życiu spotkał się z taką syreną, zatyka uszy czym tylko może, aby nie ulec ich podstępom. W takim razie musimy wykorzystać inny sposób, a ty nam w tym pomożesz.

- A więc powiedz mi, co mam uczynić?

- Gdy wrócisz na ląd, nazbieraj w zagajniku suchego drewna. Gdy nadejdzie zmierzch, rozpal przy brzegu ognisko. Żeglarze będą się kierować w tę stronę, a ja, jeżeli tylko będzie to możliwe, pomogę ci.

Mateusz wypełnił gorliwie polecenie Esty. Ułożył drewno na kształt dużego stożka, a jego brzegi obłożył kamieniami. Wziął krzesiwo i za jego pomocą, gdy zaszło słońce, podpalił konstrukcję. Czekał przez parę godzin, po czym ujrzał niewielką łódkę. Chłopak, który nią płynął, nie widział niczego. Noc była pochmurna, na niebie nie można było ujrzeć ani gwiazd, ani księżyca. Tracił już nadzieję. Panicznie rozglądał się dookoła. Równie dobrze mógł być blisko lądu, jak i na środku morza. Nie wiedział, co robić. W końcu dostrzegł ognisko na brzegu. Uradowany zaczął szybko wiosłować, aby jak najprędzej dotrzeć na plażę. Po krótkiej chwili stał już na piasku i kierował się w głąb wioski. Rybak widząc, że ta metoda działa, niezwykle się ucieszył.

Następnego dnia Mateusz znów wybrał się na połów, choć bardziej interesowało go spotkanie Esty. Chciał opowiedzieć jej o minionej nocy. Nie zawiódł się, gdyż ona czekała na niego blisko brzegu

Długo rozmawiali o wszystkim, co się wydarzyło. Chłopak mówił o rybaku, którego udało mu się uratować. Gdy opowieść dobiegła końca, Esta zaczęła opisywać życie pod wodą, o tym jak cudowne są tam krajobrazy, o królowej Juracie i nieznanym ludziom stworzeniach z głębin. Planowali następną noc.

Mateusz codziennie spotykał się z Estą i co noc rozpalał ognisko na brzegu. Dzięki temu uratował wielu ludzi, a mieszkańcy wsi zaczęli zauważać to i doceniać jego pracę. Między chłopcem a syreną rozkwitło ogromne i prawdziwe uczucie. Jednak ich serca pękały z żalu, gdyż nie mogli żyć na jednym świecie. I tak pewnie by zostało, gdyby pewnego dnia Esta nie powiedziała:

-Mój kochany! Wczoraj pytałam się królowej Juraty, czy możesz zamieszkać z nami,

a ona zgodziła się! Sam Posejdon się zgodził! Wystarczy, że o zachodzie słońca skoczysz wraz ze mną w tafle wody.

Mateusz postąpił zgodnie z poleceniem ukochanej. Gdy tylko się zanurzył, poczuł, jak jego nogi zmieniają się w ogon i pokrywają łuskami. Po chwili mógł również oddychać pod wodą. Zakochana para odpłynęła w głąb morza i żyła długo i szczęśliwie.

Mieszkańcy, wsi gdy zauważyli zniknięcie młodego mężczyzny, zrozumieli, co się stało, gdyż często opowiadał im o pięknej i tajemniczej dziewczynie, w której się zakochał. Było im przykro, że odszedł, ponieważ bardzo go lubili. Praca, którą wykonywał, była bardzo ważna i uratowała wielu osób. Postanowili, że będą ją kontynuować i co noc jeden z nich pełnił dyżur na brzegu, pilnując ognia. Robili tak przez wiele, wiele lat, aż w końcu wybudowano w tej miejscowości latarnię morską, która stoi tam do dziś i przypomina o pięknej historii Mateusza i Esty, a którą na cześć wsi, nazwano Stilo.

10-12

Legenda

O Pałacu pod Bocianim Gniazdem

Dawno temu w Runowie, wiosce położonej blisko Lęborka żyła klacz o imieniu Karmen. Karmen codziennie przemierzała przepiękną okolicę ze swoim przyjacielem, którym był czarny bocian.

Pewnego razu biegnąc przez łąkę zobaczyła rzekę. Karmen pomyślała, że jej przeskoczenie nie będzie problemem i skoczyła.

Skok okazał się jednak dla Karmen niefortunny, ponieważ zaczęła utykać na jedną nogę. Rana okazała się na tyle duża, że klacz zaczęła krwawić, a chwile później zemdlała.

Przestraszony stanem Karmen jej przyjaciel bocian, poleciał do lasu szukać pomocy. W lesie bociana ujrzał szesnastoletni chłopiec o imieniu Marcin. Marcina zachwylił nietypowy wygląd ptaka i zapragnął go namalować. Postanowił pójść za nim w głąb lasu. W ten sposób chłopiec dotarł do nieprzytomnej klaczy. Podszedł do Karmen i ujrzał, że koń krwawi. Marcin nabrał wody ze strumyka i przemył ranę klaczy, po czym zatamował krew swoją koszulką.

Dzięki temu zdarzeniu, które uratowało życie Karmen, Marcin pokochał konie i zapragnął mieć w przyszłości stadninę. W ten sposób chciał połączyć świat zwierząt i ludzi.

Kiedy tylko ukończył 18 lat, zaczął budować pałac i stadninę. Pałac stanął w miejscu, w którym chłopiec pierwszy raz zobaczył Karmen.

Pierwszej wiosny, na szczycie dachu, Marcin ujrzał zbudowane gniazdo, a jego mieszkańcem był czarny bocian. Karmen, bocian i Marcin znowu byli razem. Teraz już na zawsze.

Do tego gniazda co roku przylatują bociany, potomkowie tego pierwszego. Pałac otrzymał nazwę "Pałac pod Bocianim Gniazdem" i stoi do dziś, a jego właściciele kochają konie. Potomek klaczy z tej legendy również nazywa się Karmen. Jeśli ktoś się wybierze do tego pięknego, promieniującego szczęściem miejsca w Runowie, ujrzy napis na boksie Karmen „Prezydent koni”.

Dzisiaj „Pałac pod Bocianim Gniazdem” jest miejscem, w którym konie i ludzie tworzą więzi na całe życie.



Dawno, dawno temu, w mieście o nazwie Lębork, mieszkała królowa Adrianna wraz ze swoim mężem Eduardem. Lecz zanim przystąpię do ich historii, muszę przyswoić waszym umysłom kilka informacji na temat dawnego Lęborka.

Jak pewnie wiecie, Lębork był kiedyś niemieckim miastem. W odległych czasach roilo się tam od Krzyżaków i wszelkich kupców. Jednak najrzadziej chyba można było tam spotkać jakichś władców. Ale też było kilka wyjątków. A szczególnie ród von Pringsheim – jeden z najbardziej znanych niemieckich rodów, do którego należała królowa Adrianna i król Eduard. Ku waszemu zdziwieniu, mieszkali oni w zaledwie małej, skromnej chatce nad rzeczką. Aż trudno w to uwierzyć, prawda? Po co szlachetnym władcom mały domek, w którym nie można wykonywać wielu „królewskich” spraw, ucztować, mieć wielu poddanych sobie i służących, którzy wam będą wszystko podawać na tacy? Nie można było się tam nawet dość „zabawić”, pograć w jakieś królewskie gry i tym podobne. Dlaczego więc potomkowie rodu von Pringsheim, czyli nasi wymienieni władcy, zamieszkali w takiej biedzie? Otóż wiedźcie, że królowa Adrianna była bardzo uprzejmą, i to chyba nawet najbardziej uprzejmą osobą w całym tym rodzie! Była również bardzo inteligentna i odważna. Była piękna, miała długie, złote włosy i błękitne oczy. Od dziecka marzyła, żeby zamieszkać w zamku, tak jak jej przodkowie, ale jednak chciała jeszcze trochę poczekać, żeby dowiedzieć się, jak to jest żyć tak, jak inni ludzie, biedniejsi od niej, aż do momentu, kiedy dowiedziała się, że spodziewa się dziecka – a dokładniej córki. Zawarła umowę z Krzyżakami, którzy obiecali królowej wybudować zamek nad rzeką Łebą za w miarę odpowiednią cenę. Lecz jednak Krzyżacy za to, że okazali w tym interesie Adriannie garstkę litości, oczekiwali w zamian, żeby zamek nosił imię od ich nazwy – czyli zamek krzyżacki. Królowa zgodziła się, gdyż bardzo jej zależało, żeby jej córeczka miała jak największą wygodę. Nic nie ma lepszego dla matki, niż szczęście i bezpieczeństwo dziecka!

W zaledwie kilka tygodni Krzyżacy wykonali swoją robotę. Adrianna i Eduard mogli cieszyć się swoim nowym, właściwie pierwszym zamkiem. Był wykonany w stylu gotyckim, był bardzo obszerny, ogromny i... po prostu wspaniały! Na dodatek miał mnóstwo okiennic z widokiem na rzekę Łebę! Wszakże na lewo od zamku była zbudowana kamienna ścieżka; po przejściu po niej przez kilka minut na wprost, po prawej stronie znajdował się również most zbudowany z kamieni, pod którym znajdował się mały wodospad, i oczywiście wspaniała rzeka, która otaczała zamek z każdej strony – było to nie

lada widowisko!

Żeby dostać się do samego zamku, trzeba było podążać również mostem; tym razem z drewna. Kiedy się po nim przeszło, na wprost znajdowały się ogromne drewniane wrota. Wtedy nie było oczywiście mosiężnych klamek, dlatego trzeba było ciągnąć drzwi z całych sił.

Ściany zamku i jego zewnętrzna strona były wykonane z cegieł – było to kiedyś jedno z najpopularniejszych źródeł roboty i dekoracji domów.

Wewnątrz tego wspaniałego miejsca znajdowało się mnóstwo przeróżnych sal – były to głównie sale balowe, ale nie zabrakło też pomieszczeń codziennego użytku, takich jak jadalnie, kamienne piwnice do przechowywania różnych surowców (głównie piwa), sypialnie, łaźnie. W zamku znajdowały się również sale gier (grało się tam głównie w szachy; jedną z najpopularniejszych królewskich gier).

Władcy zapłacili również Krzyżakom za wyposażenie zamku – między innymi za kanapy, łóżka, fotele, żyrandole, pianino i także za potrzeby „posiłkowe”, czyli za jedzenie, ale i również za wiele innych podobnych rzeczy. Zamek bez mebli i wyposażenia nie jest przecież zamkiem.

Po około dwóch tygodniach zamieszkiwania tutejszego zamku, na świat przyszła córka Adrianny i Eduarda – księżniczka Tamara. Była ona prześlicznym dzieckiem, zapewne urodę odziedziczyła po matce. Od razu oboje rodziców ją pokochało. Czuli w niej dobro – bardzo głęboko wierzyli, że jest i będzie tak naprawdę. Lecz gdy Tamara miała już zaledwie kilka lat, pojawiły się między nimi pewne obawy. Ponoć krążyła legenda, że osoba, która pochodzi ze szlacheckiej rodziny (nie w każdym przypadku; może to być też członek po prostu dobrej, uprzejmej rodziny), posiada czyste serce pełne wrażliwości, odwagi i dobroci, może przejść po rzece Łebie, nie topiąc się, a nawet może opanować ruchy jej nurtu. A jeśli jest odwrotnie; jest to człowiek nieczysty, posiada serce z „kamienia”, nie umie nad sobą zapanować i jest złą osobą – spotka go śmiertelne utopienie w rzece.

Ten, kto zapanuje nad rzeką Łebą i przejdzie po jej szlaku nie topiąc się, zyska bardzo długie życie i ogromną sławę – tak głosiła legenda. Dlatego nie dziwcie się, że bardzo wiele osób próbowało to zrobić, jednak zapomnieli o tym najgorszym – choć może tak naprawdę myśleli, że są tego godni. Byli w błędzie. Nikt dotychczas nie dokonał tego czynu i każdy śmiałek padał trupem w głąb rzeki.

Rodzicom Tamary bardzo zależało, żeby to ona tego dokonała – nie ze względu na sławę, ale na dobroć księżniczki. Chcieli, żeby ich córka była dobra i stanowiła przykład dla wielu poddanych. Zaś sama Adrianna i Eduard pomimo tego, że byli odważni, bali się stąpać po nurcie rzeki, wręcz się obawiali, że nie są tego godni i nie są zbyt dobrymi ludźmi. A ich córka wydawała się po narodzeniu istnym aniołkiem. Jednak jak każdy z was wie, pozory mogą mylić. Sami się o tym jeszcze przekonacie.

Minęło już wiele lat od narodzenia księżniczki. Pomagała swoim rodzicom w wielu obowiązkach, ale również zajmowała się swoimi, królewskimi sprawami. Z każdym kolejnym miesiącem Tamara stawała się mniej uprzejma dla swoich rodziców i poddanych. Wiele służących twierdziło, że tak to już bywa i taka po prostu jest młodzież, jeśli tak można nazwać ten przypadek. Córka władców, gdy już miała około osiemnaście lat, wybrała jednak inną drogę, niż jej rodzice przypuszczali. Nie była wcale życzliwa, nie wydawało się, że ma bardzo dobre serce. Tamara po pewnym czasie postanowiła zbuntować się i wybrać własną drogę życia – a dokładniej zbuntowaną, mroczną stronę. A jak to się stało? Otóż pewnego dnia poprosiła służących o małą przysługę. Zależało jej na zdobyciu wielu ziół z najlepszych, królewskich spiżarni, gdyż chciała zostać najstynniejszą księżniczką zielarką. Służący za to nie zgodzili się, ponieważ wiedzieli, że nie mogą dać żadnej osobie dostępu do wszelkich ziół – szczególnie zakazanych. Jedynie król i królowa mogli ich używać, nikt inny, głównie ze względu na bezpieczeństwo, ale także na prawa i wszelkie obietnice składane z zielarzami. Księżniczka oburzyła się na tę wzmiankę. Bardzo zdziwiła się, że jej rodzice, którzy jej bardzo ufali, nie pozwolili jej skorzystać z leczniczych składników. Postanowiła zemścić się na wszystkich, na służących, na poddanych, a nawet na własnych rodzicach!

Przez długi czas knuła mroczne plany, aż w końcu coś wymyśliła. Słyszała kilka powieści o zakazanych księgach z zaklęciami, znajdujących się w zamkach i pałacach. Była pewna, że w ich zamku, w królewskiej biblioteczce, również takie się znajdowały, a rodzice nie chcieli jej o nich powiedzieć.

Pewnego razu zakradła się w nocy do jednej z takich biblioteczek, bo wiedziecie, że w zamku było ich bardzo dużo. Szukała między wszelkimi regałami, długo nie mogła nic wyszukać, aż w końcu... Znalazła wielką księgę podpisaną „Zaklęcia zakazane – czary od drobnostek do bardziej skomplikowanych zaklęć”. Od razu ją chwyciła, zaczęła przewracać

strony, aż w końcu na jednej z ostatnich zobaczyła kilka zdań napisanych czerwonym drukiem: „Uwaga! W tej księdze znajduje się wiele skomplikowanych zaklęć, jak i także prostych. Ale nie ma tutaj zaklęć miłości i tym podobnych. Można wyszukać zaklęcia bolesności i naruszających cielesność, lecz nie doprowadzających do śmierci”.

To już dużo dało do myślenia naszej księżniczce. Ukradkiem wymknęła się z biblioteczki i popędziła do swojej mrocznej komnaty wraz z księgą. „A gdyby tak wyczarować jakąś magiczną rzecz? Taką, co służyć mi będzie i podpowiadać, doceni wszystkie starania, powie mi prawdę o mnie?”, myślała. Zazwyczaj słowa, które wypowiadała, wydawały jej się święte, dlatego postanowiła znaleźć w księdze zaklęcie na wyczarowanie jakiegoś magicznego przedmiotu. Nie długo musiała szukać; w końcu znalazła na pewnej stronie wskazówki, jak wyczarować własne, magiczne zwierciadło, które miało być pomocą, niezbędnym przedmiotem zbuntowanej księżniczki. Miało ono również wspomagać w dokonywaniu wyborów, czy podjąć się jakiegoś wyzwania, czy nie. Jeszcze jedną specjalnością było przepowiadanie przyszłości, a to także jedna z niezbędnych rzeczy. Ale była w tym przedmiocie pewna wada: zwierciadło po stworzeniu nie mogło być bardzo, ale to bardzo dokładne; mogło się zdarzyć kilka pomyłek, a także kilka błędów. Tamara jednak nie skupiała się nad tym – według niej ważne było, żeby zwierciadło chociażby jakoś funkcjonowało.

Po kilku dniach, nie wiadomo ilu, Tamara wykonała swoje zadanie. Dzięki magicznej księdze nauczyła się sporu zaklęć, dlatego bez problemu mogła stworzyć własne, magiczne zwierciadło. Było ono naprawdę niezwykle – księżniczka miała możliwość codziennej rozmowy z tym przedmiotem, zwierzała się jemu, a ono w zamian pomagało jej w kilku niecnych planach. Ale to trochę skomplikowana sprawa, gdyż mnóstwo było takich planów. Nie traćmy lepiej czasu, czeka nas jeszcze najważniejsza historia.

Pewnego dnia w głowie Tamary zrodził się pewien pomysł.

– A gdyby tak nie spróbować przejść po rzece Lebie? Czuję, że osoba pochodząca ze szlachej rodziny, takiej jak moja, jest tego godna. Ale powiedz, moje drogie zwierciadło, co o tym sądzisz?

– Hmm... - mruknął przedmiot. - Uważam, że to dobry pomysł. Masz księżniczko wielkie szanse na przejście szlaku tej rzeki, bez możliwości utopienia. Ale sądzę, że powinnaś zapytać się jeszcze rodziców o zgodę, choć tak naprawdę to głównie zależy

od twojej woli.

– No dobrze. Zapytam rodziców, ale jak nie potwierdzą, to i tak ja zadecyduję, czy podejmę się tego wyzwania.

– Twoja wola, księżniczko – ostatni raz rzekło zwierciadło.

Tamara opuściła swoją komnatę i poszła w stronę pomieszczenia rodziców, znajdującego się po schodach w górę, prawdopodobnie na trzecim piętrze.

Gdy była na miejscu, znalazła tam oboje rodziców siedzących na królewskich fotelach, wdychających i patrzących na ich córkę. Prawdopodobnie rozmyślali o jej przyszłości, co ją już niedługo spotka, i czy uda jej się odmienić los innych ludzi oraz poddanych.

– Zamierzam podjąć się wyzwania – rzuciła księżniczka. – Według mnie nie mam innego wyjścia. Muszę się przekonać, że jestem najrozsądniejszą i najwspanialszą władczynią na całym wszechświecie!

– Tamaro, proszę, nie rób tego! – błagała Adrianna. Jej głos brzmiał już trochę inaczej od narodzenia jej córki, bardziej dorosło, a może nawet trochę staro.

– Dlaczego? – zapytała zdziwiona Tamara.

– Ponieważ ja z ojcem boimy się o ciebie. Twoja przyszłość zmierza ku pustkowiu i ciemności, jeśli nie wybierzesz tej właściwej, dobrej strony. Proszę, córeczko, nie rób tego. A jak nurt porwie cię na dno?

– Nie ma takiej mowy, jestem nie do pokonania! – mówiła przekonana córka.

– Tamaro, nikt nie ucieknie przed śmiercią – rzekł Eduard – nawet, jeśli byś знаła jak najlepsze zaklęcia. Nie ma innej drogi, niż zmierzenie się z wieczną ciemnością twarzą w twarz.

– Ja zadecyduję, co według mnie jest słuszne, a co nie – powiedziała księżniczka uroczystym głosem, głaszcząc przez chwilę swoje długie, ciemne włosy.

– Niech tak będzie – zawtórowali rodzice, wdychając przy tym żałość. – Tylko żebyś się nie zdziwiła, gdyby coś przykrego ci się stało. To na twoją własną odpowiedzialność.

Tamara jedynie pokiwała głową i odeszła.

Księżniczka znajdowała się już dosłownie przed wrotami zamku. Przed wyjściem nałożyła tylko na siebie czarny płaszcz, który powinno się ubierać na znak żałoby, czy też śmierci bliskiej osoby. Tamara była jednak osobą, która uważała, że ma prawo do

wszystkiego i praktycznie nie zważała na opinie innych. Myślała, że może mieć wszystko, tylko za sprawą własnego rozsądku. To od niej zależało, kim będzie w przyszłości, czy przystąpi na dobrą stronę, czy też złą. Jak już wiecie, wybrała tę drugą. Niestety, nie możemy tego zmienić. Ale także Tamara nie mogła tego zmienić. Bo trudno jest przejść na inną drogę, zupełnie przeciwną od tej, do której się przywiązałaś.

Księżniczka skręciła w prawo i poszła mostem w stronę rzeki. Od razu czuła, że przejście przez tę wodę to dla niej drobnostka.

Gdy doszła do przepaści mostu graniczącego z nurtem rzeki, dziewczyna zdjęła z siebie płaszcz i wskoczyła do wody. Ku jej zdziwieniu, nie była wcale taka lodowata. Chciała ruszyć się o kawałek w stronę, w którą płynęła rzeka, i...

Tamara zaczęła tonąć.

– Pomocy! Ratunku! - krzyknęła księżniczka. - Przekłęte zwierciadło! Przekłęta księga! Niech ktoś mi...

Gdy wypowiedziała ostatnie zdanie, nurt wodny zaczął ściągać dziewczynę na dno rzeki. Nawet żadne zaklęcia, które znała, jej nie pomogły – na próżno próbowała je wyszeptać w ostatniej chwili. Również nikt jej nie usłyszał, nie miałby nawet możliwości szybkiego uratowania Tamary.

Jak widzicie, księżniczka była odmienna od innych królewskich plemion. Można by się kłócić, czy tak naprawdę była zła. Lecz jedno jest pewne – wybrała złą drogę. Myślała, że może wszystko i przezwycięży śmierć. Ale myliła się. Żał mi jej trochę, lecz tak naprawdę sama się w to wpakowała, na własne życzenie.

A rodzice? Gdy się dowiedzieli, było już za późno. Zaczęli żałośnie płakać i zawodzić, ale to również nie pomogło. Było im bardzo smutno, że stracili swoją jedyną córkę, którą tak bardzo kochali.

A poddani i służący? Jeśli mam być szczerą, to również trochę rozpaczali, ale nie aż tak bardzo. Nie chcieli, żeby Tamara zginęła, ale jednak nieco uratowało im to życie od wszelkich zagrożeń i niecnych planów księżniczki.

Na pamiątkę całego tego zdarzenia możecie zwiedzać i oglądać zamek krzyżacki, który wystąpił w tej legendzie – lecz trochę przekształcony. Teraz obecnie stoi na ulicy „Przymacze”, jako sąd w Lęborku.

DORSZLU

Legenda o Spichlerzu Solnym w Lęborku

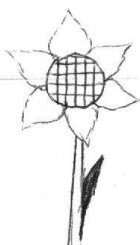
Dawno dawno temu w XIV wieku, kiedy naszym światem władali królowie, a dzielni rycerze ratowali księżniczki, za górami i lasami znajdowała się piękna kraina - Lębork. W okolicy rosły przeróżne rośliny, mieszkaly kolorowe ptaki i inne niezwykłe zwierzęta. Z oddali było widać pagórki, porośnięte lasami, a wszędzie słychać było ćwierkanie różnorodnych ptaków. W samym sercu miasteczka znajdowało się jezioro, którego woda mieniła się kolorami tęczy. Niedaleko zamku, w którym mieszkał władca Lęborka - Stanisław, znajdował się ogromny spichlerz, któremu nadano nazwę „Solny”. Nazwa wzięta się stąd, ponieważ w tym budynku cała ludność lęborska przechowywała sól i zboże.

W Lęborku żył sobie młody rycerz o imieniu Artur. Artur był wiernym wojownikiem władcy, umiejętnie władającym bronią, szlachetnym i honorowym. Serce młodego rycerza skradła piękna księżniczka, córka króla Stanisława o imieniu Aurora. Artur złożył obietnicę, że ta kiedyś zostanie jego żoną. Aurora zakochana w młodym i przystojnym rycerzu, co wieczór wyczekiwała go pod swym oknem.

Pewnego dnia w miasteczku pojawił się zły czarnoksiężnik o imieniu Gorgon. Był tak przerażający i mroczny, że wszyscy Lęborcianie pochowali się w swych chatach. Czarnoksiężnik Gorgon udał się do zamku Stanisława i zagroził, że jeśli nie odda mu ręki córki Aurory rankiem zamieni zboże i sól zgromadzoną w spichlerzu w piach.

Stanisław był bardzo zrozpaczony, gdyż wiedział, czym grozi utrata zboża i soli podczas zbliżającej się srogiej zimy. Księżniczka Aurora załamana faktem poślubienia okrutnego czarnoksiężnika, rozpaczła w swej komnacie. Król za wszelką cenę starał się wymyśleć rozwiązanie, aby pozbyć się Gorgona z Lęborka. Gdy wiadomość o rozpaczach księżniczki dotarła do rycerza Artura, ten czym prędzej udał się do zamku w obronie Stanisława i Aurory. Mądry rycerz wymyślił plan pozbycia się Gorgona z miasta. Wspólnie z mieszkańcami ukrył zboże i sól na zamku. Gdy Gorgon o świcie pojawił się na zamku i dowiedział się, że władca nie odda mu swej córki, rozgniewany udał się w stronę spichlerza. Gdy otworzył jego bramy, wpadł w pułapkę zastawioną przez Artura. Został wepchnięty do środka i zamknięty na wieki. Drzwi od spichlerza zostały zamurowane.

Rycerz Artur i piękna Aurora pobrali się na zamku, a rok później urodziła im się córka imieniem Stanisława. Szczęście i radość zawładnęły miastem. Uradowany władca Stanisław kazał wybudować drugi spichlerz Solny, który podarował mieszkańcom Lęborka. Nowa budowla była tak niesamowita, że ludność z innych regionów przybywała do miasteczka, by ją zobaczyć. Dzisiaj można zobaczyć podróżników stojących przed spichlerzem, nasłuchujących jęków i płaczu czarnoksiężnika.



Legenda o grodzie w Bukawinie 10-12

Dawno, dawno temu, przed wieloma wiekami zanim jeszcze Polska za Mieszka I przyjęła chrzest. W naszym powiecie były dwa grody jeden w Białogardzie koło Leby drugi w Bukawinie. Mieszkańcy grodu w Bukawinie żyli sobie tutaj bardzo spokojnie. Plwali na zwierzęta, których było pełno w lasach, łowili ryby, nauczyli się uprawiać zboża, mielić ich nasioma na kamiennych żarnach i z uzyskanej w ten sposób maki piec chleb. Mężczyźni ubierali się w futra z upolowanych zwierząt, a kobiety szyły sobie suknie z materiału, które same tkwały na krosnach. Ich spokój skończył się jednak, kiedy myszy dałoby nad jeziorem (gdzie żyłoby zamkniętego w wieży Piela). Potem rozlażyły się po całym kraju. Dotarły też do Bukawiny. Było ich bardzo dużo i wszystko niszczyły. Wypadały ziarno, wygryzwały w drewnianych ścianach chat dziury, niszczyły zbożone w skrzyniach abramia. Krosnarczy mieszkańcy grodu za namową niemieckich kupców, którzy często przyjeżdżali nad Baltyk po bursztyn, zamówili sobie u nich dwa koty. Wkrótce do Bukawiny przybyli dwaj postaci, przyniesli kota i kotkę. One wylapią wam i zjedzą wszystkie myszy. Mieszkańcy grodu spojrzeli po sobie. A co one będą jędy, kiedy już zjedzą wszystkie myszy zapytał jeden z nich. Ale postaci umieli powieścić po polsku tylko jedno zdanie,

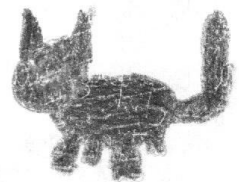
niczego więcej nie rozumieli. Zapytali więc „was“ czyli po niemiecku co.

Blacy słysząc „was“ rozumieli to dostawnie. Kiedy koty już zjedzą wszystkie myszy to potem zjedzą również ich i przewożeni uciekli wszyscy do lasu. A postawili jako, że otrzymali już zapłatę zostawili koty i odjechali. Długo trwało zanim ludzie z lasu wrócili spowrotem do swoich chat. Rozumieli w końcu, że koty to bardzo miłe stworzenia i że z ich strony nic im nie grozi. A koty choć bardzo się w Bukwinie rozmnożyły wszystkich myszy nie wyłapały do dziś. W miejscu gdzie przed wiekami był gród rośnie dzisiaj las.

Tam gdzie niegdyś stały drewniane chaty szumią zboża. Z biegiem lat wieś też przeniosta się w inne miejsce. Tamte czasy być może pamięta jeszcze stojący na wzgórzu stary zabytławy kościół.

Myszki w nim jednak nie zobaczysz. One wolać mieszkać w stobach pełnych zboża i ciepłych domach, najlepiej w zasobnych spiżarniach. Koty też wolać ciepłe miejsca najlepiej przy piecu, albo u ludzi, którzy z czasem bardzo je polebili na kolanach.

Wiktoria Formela





10-12

Legenda o ulicy Młynarskiej

Dawno, dawno temu na pięknej zielonej równinie wzniesiono gród Lauenburg. Osiedlającym się tam ludziom żyło się spokojnie i dostatnio. W pobliskich lasach polowali na zwierzynę i zbierali owoce leśne, a na podmokłych łąkach, zioła. Rybacy łowili pstrągi w płynącej obok grodu rzece Łebie oraz wypływali w niedalekie Morze Bałtyckie po śledzie. Przez wiele lat Lauenburg przechodził pod władanie różnych władców. Każdy z panujących chciał wzbudzić podziw wśród swoich poddanych, budując zamki, baszty, domy, mury.

W piękny, słoneczny letni dzień do grodu przybyli posłańcy króla Władysława IV i oznajmili włodarzom, że nazajutrz do miasta przybędzie jego żona księżna Maria Ludwika Gonzaga. Pogłoska szybko rozpowszechniła się po całym grodzie. Wszyscy chcieli się jak najlepiej przygotować na to wydarzenie.

Następnego dnia księżna przyjechała do Lauenburga. Z tej okazji wyprawiono huczne przyjęcie z udziałem największych dostojników państwa. Księżna Ludwika została w mieście na kilka dni. Poznawała okolicę oraz tutejszą ludność. Mieszkańcy byli wobec księżnej bardzo zyczliwi i hojni. Obdarowywali ją biżuterią z bursztynu i srebra oraz ziołowymi herbatkami. Tak upływały Marii kolejne dni. W ostatni dzień pobytu w pięknym mieście, bardzo jej się nudziło i chciała w końcu odpocząć od zgiełku. Napila się pysznej ziołowej herbatki i poszła na spacer. Długo spacerowała uliczkami miasta, podziwiając budynki, piękne kwiaty w oknach i ogrodach. Nie zwracając większej uwagi na zbliżający się zachód słońca, udała się nad staw. Zauroczona błękitem wody i cudnym niebem, usiadła na połamanym pniu drzewa. Wsłuchiwała się w pluski wody i rechot żab. Oglądała taniec wążek nad stawem, raptownie zrobiła się senna i ... zasnęła. Gdy się po chwili ocknęła, niestety była już w wodzie. Pomyślała, że to pewnie za sprawą tej herbatki ziołowej. Nie wiedziała, co począć, gdyż nie umiała pływać. Zaczęła głośno wołać o pomoc. Niespodziewanie, jakby znikąd, pojawił się przy stawie młynarz z pobliskiego młyna, który spieszył się dostarczyć świeże pieczywo do klasztoru. Gdy zauważył Marię, od razu zsiadł z wozu i natychmiast rzucił się jej na pomoc i wyciągnął ją na brzeg.

-Dziękuję Ci młynarzu – powiedziała Maria zgrzytając zębami. – Dziękuję za to, że uratowałeś mi życie.

-Nie ma za co. A teraz spieszę się, bo muszę dostarczyć świeże pieczywo do klasztoru – odpowiedział jej młynarz.

Po tych słowach wsiadł do wozu i szybko pojechał w stronę zakonu. Księżna wróciła do zamku i prędko się przebrała, aby nikt nie zauważył jej w takim stanie. Późnym wieczorem, gdy udała się na spoczynek, pomyślała o młynarzu, który ją uratował. Chciała mu się odwdziżyć za uratowanie jej życia, tylko jeszcze nie wiedziała jak.

Nazajutrz jednak musiała już wyjechać z pięknego Lauenburga. Opuszczając miejsce pobytu i żegnając się koło zamku z mieszkańcami, zauważyła młynarza. Powiedziała

woźnicom, aby zatrzymali na chwilę karocę, ponieważ chce coś ogłosić. Bardzo się zdziwili, ale postąpili zgodnie z rozkazem księżnej. Maria wysiadła z karocy i powiedziała:

-Wśród was jest jeden człowiek, który wczoraj uratował mi życie. Jest nim młynarz, któremu chcę bardzo podziękować za ocalenie mnie.

Młynarz opieszale i z tremą podszedł do księżnej Marii. Ona zaś mówiła dalej:

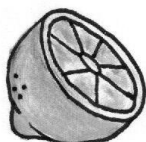
-Za moim wstawiennictwem władarze miasta nazwą ulicę, przy której mieści się twój młyn, ulicą Młynarską. Odwdzięczam ci się za twoją odwagę i dobroć.

Młynarz z radością i dumą przyjął tę wiadomość. Od tamtej pory do dnia dzisiejszego, ulica ze sławnym młynem nosi nazwę „ulica Młynarska”. Przechadzając się nią, ludzie jeszcze długo wspominali wizytę pięknej księżnej Marii i podziwiali odwagę młynarza.

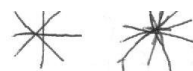
Legenda o lęborskim młynie

W nie tak dawnych czasach, w małym miasteczku o nazwie Lębork, stał młyn. Znajdował się on przy zamku, którego dziedziniec przecinał kanał. Po drugiej stronie budynku znajdował się spichlerz solny, a nieopodal płynęła rzeka, której to wody zasilaty kanał. Nurt wody kanału napędzał duże, drewniane koło młyna. Tam właśnie spędzała czas mała Hela. Była najmłodszą córką młynarza. Mama zawsze przestrzegała córkę, aby nie zbliżała się do wody. Dziewczynka jednak lubiła puszczać statki, wrzucać kamyki do wody oraz karmić kaczki. Miała ona jedną swoją ulubioną, a dokładnie był to kaczor. Hela nazwała go Lutek. Był jedyny, najbardziej ubarwiony w całym stadzie. Pięknie błyszcząły jego zielone i granatowe póra w blasku słońca. Dumnie nosił głowę, uważnie rogladając się dookoła, jakby chciał zapytać Heli: "Widzisz mnie? Przyniosłaś dziś coś dobrego?". Dlatego ten kaczor był jej ulubieńcem. Pewnego dnia, gdy dziewczynka karmiła kaczki, Lutek przefrunął do kanału. Hela widząc to, chwyciła długi patyk i pobiegła do brzegu, aby przegonić kaczkę. Przestraszyła się, że koło młyńskie wciągnie Lutka do środka. Biegając, Hela pośliznęła się na mokrej trawie i zsunęła wprost w ciemną toń wody. Widząc z okna co się dzieje, mama dziewczynki krzyknęła, by zatrzymać koło młyna! Niestety

Stary młynarz w wielkiej rozpaczy nie pozwolił już nigdy uruchomić młyńskiego koła. Młyn przestał działać, ucichły turbiny, zatrzymało się wielkie młyńskie koło. I tak jest po dziś dzień. Niedziałający wciąż młyn można podziwiać przechadzając się ulicą Przyzamacze w Lęborku. Czasem zobaczyć można tam stadko kaczek i pięknego kaczora o połyskujących w słońcu zielonych i granatowych piórach, dumnie noszącego głowę ...



10-12



Lebunia to mała wioska miejscowości, w której centrum znajduje się mały kościółek. W każdej niedziele bliźni spotykają się tam na mszy Świętej przychodzą tu dorośli i dzieci. Jednak jest ktoś kto odwiedza to miejsce codziennie. Jest nią siedmioletnia dziewczynka o imieniu Weronika. Modliła się zawsze do Boga, Maryji i Jezusa.

Pewnego razu w kościele w Lebuni wydarzyło się coś niesamowitego. Była to środa, kościół był wielkim blaskiem, a w tych jasnych promieniach ukazała się Maryja. Dziewczynka ogarnęła strach i przerażenie. Maryja powiedziała słynnym cichym i łagodnym głosem „Nie bój się”. Zapadła chwila ciszy i znów odezwał się głos „Jestem

Maryja i przyszedłam ci podziękować, że bardzo gorąco się tu codziennie do Nas modlisz”. Weronika się zdziwiła powiedziała przestraszonym głosem, ale ja niezasługuję na... i wtedy Matka Boża przemówiła Weronice „Ale wiem, że zasługujesz na podziękowania tylko ty modlisz tak wytrwale”. Matka Boża poprosiła aby zostawiła sobie ten obraz w sercu i dalej przychodziła i zaprosiła do wspólnych modlitw najbliższych. Na kolejny dzień objawił się Pan Jezus Zapytała przestraszona to ty Panie? Jezus odpowiedział, że tak. Powiedział takie słowa do Weroniki „Modl się i nadaj życie” wtedy Jezus zniknął. Weronika zrobiła tak jak Pan jej kazał.

Jej całe swoje życie ofiarowała Bogu i Maryji. Zawsze postępowała zgodnie z zasadami Bożymi i żyła długo i szczęśliwie. Jak miała obłot to nadal przychodziła do kościoła i modliła się przed figurką Maryji, a w sercu miała obraz z dzieciństwa w blasku promieni Jezusa i ukochanej Matki Bożej. W namach podziękowań rodzice Heleniki Zafundowali kapliczkę, która stoi na rozdwożu w Lebumi.

10-12

Zmartwienia zamkowego ducha Zachariasza.

Dawno ,dawno temu w pięknym gotyckim zamku krzyżackim, w Lęborku na strychu , w tajemnicy przed strażnikami mieszkał strachliwy duch Zachariasz . Za firany w oknach służyły wielkie pajęczyny, postaniem jego była stara drewniana skrzynia z błyszczącymi metalowymi okuciami ,w której trzymano krzyżackie stroje. Chował się w niej w ciągu dnia .

Pewnego dnia podczas obchodu sądowego gmachu , strażnik Hilary usłyszał przeraźliwe jęki dochodzące z poddasza . Postanowił to sprawdzić . Udał się więc krętymi drewnianymi schodami na górę. Drogę oświetlał mu blask świecy. Minął dwa piętra , wszedł na poddasze , ostrożnie otworzył skrzypiące drzwi , pomatu wszedł do środka i na pierwszy rzut oka nic go nie zdziwiło .

Kiedy zaczął się dokładnie rozglądać, za filarem zauważył siedzącego na skrzyni płaczącego ducha . Zmartwiony Hilary zapytał Zachariasza :

- Dlaczego płaczesz ?

- Na ostatnim zjeździe w Malborku śmiano się ze mnie, że straszę w Lęborku! – zanosił się płaczem .

- Mazgaj jesteś i nie znasz historii ! Wszak zamek gotycki to już powód do glorii! A ten jest wyjątkiem w swoim budowaniu , był wzorowany na joannickim murowaniu .

Zachariasz otarł łzy i powiedział :

- Opowiedz mi jeszcze jakąś ciekawą historię związaną z tym zamkiem .

- Niech no pomyślę – pogładził się po brodzie Hilary .

- Wielu krzyżackich wójtów tu mieszkało , i kilku wielkich Polaków tego miejsca odwiedzić nie omieszkało, a nawet Ulrich Von Jungingen parę nocy tu spędził .

Nie ma powodu , żebyś tak przeraźliwe zrządził .

Uradowany duszek z radości aż zawirował w powietrzu .

- Nie miałem pojęcia , że zamek w Lęborku był tak ważnym obiektem dla Krzyżaków !

- ~~Więc~~ Następnym razem na zjeździe w Malborku z podniesioną głową opowiedz duchom o Lęborku.

- Tak zrobię kochany strażniku Hilary . Dziękuję ci za wszystko i za tę wspaniałą historię . Już nie mogę się doczekać kolejnego zlotu na zamku w Malborku . Od tej pory duch Zachariasz każdej nocy dumnie krąży ciemnymi korytarzami lęborskiego zamku .

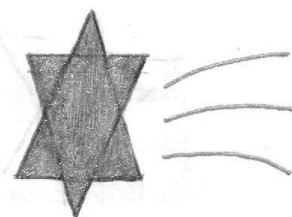
10-12

**LEGENDA O POWSTANIU NAZWY MIEJSCOWOŚCI
MASZEWO LĘBORSKIE**

We wsi Maszewo, która jest niewielką miejscowością, położoną w pobliżu Lęborka, znaleźć można na polu, za lasem ogromny głaz narzutowy, nazywany przez miejscową ludność „Wielkim” lub „Diabelskim”. Wielkim, ponieważ część kamienia, która wystaje z ziemi jest bardzo duża, ale naprawdę ogromna część tego głazu znajduje się głęboko pod ziemią. Diabelskim, bo z nazwą miejscowości wiąże się pewna, tajemnicza legenda.

Pewnego dnia szedł przez maszewskie pola stary chłop. Nagle, zza drzew, rosnących na środku pola, wyskoczył straszny diabeł, który zaproponował chłopu, że w zamian za rękę jego prześlicznej córki Ewy, w której zakochał się diabeł, chłop stanie się bogaty. Chłop najpierw nie chciał zgodzić się na to, co zaproponował mu bies, bo kochał swoją córkę, dlatego chciał, żeby została przy nim, w domu. Ale też bał się diabła i wymyślił dla niego zadanie, które diabeł musi wykonać, aby dostać jego córkę za żonę. Kazał przenieść diabłu wielki kamień aż do Lęborka, ale zadanie to diabeł musi zakończyć przed świtem, nim zapieje kogut. Jeśli jednak tak się zdarzy, że zapieje pierwszy kogut, zadanie nie zostanie zaliczone i córka zostanie przy ojcu. Diabeł zgodził się na warunek chłopu i ruszył w długą drogę do Lęborka z kamieniem w rękach. Kiedy szedł przez pola, zaczął wiać silny wiatr, który przeszkodził diabłu wykonać zadanie. Diabeł nie zdążył. Wiatr wiał tak mocno, że w pewnym momencie przewrócił diabła, a kamień, który trzymał mocno w dłoniach, przygniół go. Próbował jeszcze ostatkiem sił bies odrzucić od siebie głaz i podarować go swej ukochanej, rzucając jej pod stopy. Krzyknął do niej: „Masz Ewo!”. Niestety głaz przygniół go na dobre. A miejscowość od tamtej pory nosi nazwę Maszewo, na cześć córki chłopu, którą ocalił przed diabłem ojciec.

Najstarsi mieszkańcy Maszewa opowiadają, że kiedy przechodzi się obok tego głazu, ciągle jeszcze słychać jęk diabła. Z biegiem czasu zauważalne jest też to, że głaz zmienia swe położenie – zapada się coraz głębiej w ziemię, tak, jakby ktoś próbował się spod niego uwolnić



Legenda o żabiej fontannie

Dawno, dawno temu żył sobie piękny i zany młodzieniec o imieniu Johansen. Każda niewiasta go kochała, każdy mężczyzna chciał być taki jak on.

Był ciepły, letni dzień. Johansen wybrał się na spacer ulicą Staromiejską. Kiedy znalazł się na moście, spojrzął na rzekę Łebę. Woda wyglądała zachęcająco, więc zdecydował się na kąpiel, aby się ochłodzić. Najpierw rozejrzał się, czy ktoś jest w pobliżu. Potem położył na brzegu buty i koszulę. Powoli wszedł do wody. Nagle kogoś zobaczył - piękną kobietę... Gdy ich oczy się spotkały, rzekł do niej:

- Przepraszam, nie wiedziałem, że ktoś jeszcze zażywa tu kąpeli... Kobieta przestraszyła się i zniknęła pod wodą. Johansen pomyślał, że się topi i wykrzyknął:

- Czekaj, pomogę ci! A ona wynurzyła się i odpowiedziała:

- Nie potrzebuję twojej pomocy!- i ponownie zniknęła. W tym momencie poczuł skurcz w tydce, zaczął w panice machać rękami i sam znalazł się pod wodą. Żabostworzyca pojawiła się nagle i przyszła mu na ratunek. Zamknął oczy. Ona wyciągnęła go nieprzytomnego na brzeg. Sprawdziła, czy jego serce nadal bije. Potem cierpliwie czekała, aż się obudzi. Minął jakiś czas. Johansen otworzył oczy i zobaczył swoją wybawicielkę w całej okazałości. Wokół jej ciała były glony, ale widać było, że jej nogi przypominają żabie odnóża... Przestraszył się i odsunął gwałtownie.

- Odejdź ode mnie ty stworze!- krzyknął z odrazą.

- Nie jestem tym, za kogo mnie uważasz- powiedziała ze smutkiem. Jestem zaklęta w żabostworzycę przez złego alchemika, za którego nie chciałam wyjść za mąż.

- Czemu mam ci wierzyć?- zapytał niepewnie.

Opowiedziała mu o przepowiedni, w której miała spotkać mężczyznę, który odczaruje ją pełnym wdzięczności pocałunkiem. A ona przecież uratowała mu życie... Alchemik wątpił w to, że ktoś zechce pocałować takiego stwora, dlatego rzucił ten okrutny czar.

- Wybacz, ale muszę to przemyśleć - powiedział. A potem zabrał swoje rzeczy i odszedł, nie mogąc uwierzyć w to, co się stało. Gdy się obejrzał za siebie, jej już nie było. Mijały dni, a on tłumaczył sobie, że słońce zbyt mocno grzało tego dnia i pewnie dostał udaru.

Po jakimś czasie wrócił nad rzekę Łebę, w to samo miejsce. Kiedy zanurzał się w wodzie, znów ją zobaczył. Przetarł oczy ze zdziwienia. Więc ona jednak istniała!... Nagle odezwała się:

- Przemyślałeś już? To dlatego wróciłeś?... – zapytała z nadzieją.

- To ty naprawdę istniejesz? Myślałem, że to był sen...

- Czekałam na ciebie. Nie mogę dłużej żyć w tej postaci...

Wtedy przypomniała mu się przepowiednia i powiedział:

- Zgoda, pocałuję cię- rzekł i zbliżył się do niej.

W tej samej chwili niebieskie światło rozbiły nad nimi i jej żabie odnóża zamieniły się w ludzkie nogi. Gdy światło zniknęło, nie było już żabostworzycy, tylko piękna niewiasta. Na imię jej było Wanda. Johansen wziął swoją koszulę i okrył ją. Zobaczył w jej oczach miłość. Pomyślał, że chce pojąć ją za żonę. Rozmawiali jakiś czas, aż postanowili, że od razu pójdą porozmawiać z księdzem. Udali się do kościoła świętego Jakuba. Następnego dnia wzięli skromny ślub. Jakiś czas później, w dowód miłości do żony, Johansen wybudował fontannę na ulicy Staromiejskiej. A na pamiątkę ich wspólnych wspomnień umieścił na niej cztery małe żabki.

Ich miłość przewyciężyła zły czar alchemika. Wkrótce doczekali się potomka i żyli długo i szczęśliwie.

Dawno, dawno, temu w Polsce...

To był bardzo pogodny dzień. Na terenie gdzie teraz znajduje się Łeba był ocean, nie morze. Ocean ten sięgał aż do granic Mazowsza. Pewnego razu na Mazowszu rybak o nazwisku Łącki postanowił wraz z synem wypłynąć drewnianą łodzią na ocean by złowić ryby i poznać inne gatunki morskich stworzeń. Syn jego był bardzo wysportowany i inteligentny, ale nie lubił zbyt często ruszać się z domu.

- Synu! – zawołał Łącki.

- Tak, ojczy? – odpowiedział syn.

- Postanowiłem sobie, że będę spędzał z tobą więcej czasu.

- Cieszę się! – wykrzyknął rozradowany chłopiec.

- Dobrze w takim razie jutro wypływamy na ocean! – oznajmił pan Łącki.

- Co to, to nie! – zatrzwożył się chłopak.

- Czemu nie chcesz? – spytał ojciec. – Przecież spędzimy razem czas!

- Bo... bo... zgadzam się. – stwierdził nieśmiało.

- Miło mi! Jutro rano wyruszamy! – krzyknął ucieszony.

Następnego dnia rano, gdy ptaki pięknie śpiewały, obaj mężczyźni byli już w połowie drogi nad ocean.

- Tato... daleko jeszcze? – zapytał dzieciak.

- Jeszcze trochę. – odpowiedział pan Łącki.

Gdy doszli na piękną plażę, rozbili namiot i przenocowali tam. Syn Łąckiego obudził się nad ranem, lecz ojca nie było w namiocie. Chłopiec zaczął nawoływać ojca. Zmęczony usiadł na kamieniu. W pewnym momencie usłyszał blisko siebie krzyk. Zaczął uciekać w stronę wody, lecz za sobą zobaczył swojego tatę.

- Tato! – krzyknął.

- No, co? – odparł ojciec.

- Wystraszyłem się! – odpowiedział ze strachem w głosie.

- Przepraszam. To był żart. – roześmiał się pan Łącki.

- Ha, ha, ha. – zaśmiał się sarkastycznie chłopiec.

Gdy oboje wypłynęli na ocean, niebo zachmurzyło się.

- Tato, co się dzieje? – zapytał drżącym głosem syn.

- Lekki wiaterek synu. – odparł ojciec.

W momencie gdy zaczęli łowić, na wodzie zauważyli wyspę. To nie była wyspa. To coś zbliżało się do ich łódki. W chwili, gdy było bardzo blisko, niespodziewanie otworzyło paszczę i pożarło ich. To był wieloryb. Gdy ten wielki ssak połknął pana Łackiego i jego syna, na oceanie pojawił się wir. To był Neptun, władca mórz i oceanów. Gniewnie spojrzął na wieloryba i rzekł:

- Ten ocean jest zbyt niebezpieczny. Ludzie ci byli dobrzy i nie mieli złych zamiarów. Dlatego ciebie wielorybie i cały ocean spotka sroga kara! – krzyknął z gniewem Neptun. Wypowiedziawszy to, wznosił piasek i zasypał cały ocean, a wieloryba wypchnęło bliżej brzegu. Gdy zasypało wszystko łącznie z wielorybem, powstało tam piękne i spokojne morze. Na brzegu utworzyły się wydmy. Były to wszelkie stwory i stworzenia morskie przysypane przez piasek. Największą z nich był wieloryb, który połknął pana Łackiego i jego syna. Gdy ludzie osiedlili się na tamtych terenach, nazwali tę wydmy Łącką by upamiętnić Łackiego i jego syna.

10-12

Zuzetta

Bursztynowe Serce

Dawno, dawno temu w XIV wieku budowie zaczął porastać cudowny bluszcz. Porastał większą część miasta, a przede wszystkim basztę, gdzie znajdowała się komnata Bluszczowej Damy. Co dzień przepiękna roślina wypełniała całe miasto jak i serce Damy urokiem. Pewnego razu bluszcz strasznie gęsto porósł Basztę, przez co uniemożliwił wydostanie się z wieży. Marzeniem kobiety było uwolnienie się z komnaty i odnalezienie Bursztynowego Serca. Ten niesamowity przedmiot miał jej w tym pomóc. Lecz kiedyś został skradziony przez Ryboludzi.

Za panowania króla Willchelma niebieskie istoty wraz z Bluszczanami zamieszkującymi Lębork żyły w zgodzie. Jednakże Ryboludziom od czasu, gdy zostały oskarżone o kradzież bursztynu nie wolno było przekraczać granicy miasta. Te jakże niezwykle istoty zawsze były bardzo dobrymi i przyjacielskimi osobami, a w razie potrzeby służyły pomocą. Za każdym razem wypierały się fałszywych oskarżeń króla Willchelma. Przede wszystkim Ryboludzie odznaczają się niezwykłą mocą uzdrawiania. Po za tym są uczciwe i wierne. Niestety niektóre z nich umierają bardzo szybko. Ich jedynym lekiem jest Bursztynowe Serce. Dlatego też król Bluszczan oskarżał ich bezpodstawnie o

kradzież.

Pewnego dnia jeden z rybaków udał się nad Jezioro Święte. Czas mijał nieubłaganie. Niestety, nic nie udało się mu złowić. Nagle poczuł ciągnięcie wędki. Próba wyciągnięcia zdobyczy trwała kilka minut. Aż wreszcie ku oczom rybaka ukazała się niezwykła istota. Stał przed nim Rybocześnik, z długimi, mokrymi włosami i płaszczem z wodorostów. Po chwili odezwał się niezwykły głos:

- Miło cię znowu widzieć, Władku.
- Skąd znasz moje imię? - zapytał oszołomiony starzec.
- Gdy byłeś mały, znalazłem cię na brzegu Jeziora Świętego. Po czym zaprowadziłem do miasta.
- Naprawdę?
- Tak. Nawet przez pewien czas pisano o tobie w gazecie.

Zapadła chwila ciszy. Tajemnicza istota usiadła koło niego i zaczęła opowiadać mu swoją historię sprzed lat.

- Pewnego wietrznego dnia na brzegu Jeziora Świętego znalazłem coś niecodziennego, więc postanowiłem się temu dokładnie przyjrzeć. Ku moim oczom ukazał się wielki bursztyn zwany do dziś „Bursztynowym Sercem”. Bez wahania podniosłem go i pokazałem ojcu. Wytłumaczył mi, że muszę go oddać, ponieważ należy do was. Więc następnego dnia udałem się w kierunku Lęborka. Nagle tata złapał mnie za rękę i powiedział donośnym głosem: „Synu nie możesz im oddać bursztynu, ponieważ utrzymuje naszych ludzi przy życiu”. Na chwilę zamarłem. Nie miałem pojęcia, że zwykły bursztyn może uratować życie. Było bardzo ciemno, więc nic nie widziałem. Nagle ku moim oczom ukazała się długa, porośnięta bluszczem budowla. Bez namysłu położyłem magiczny przedmiot wewnątrz pnączy. W czasie przechodzenia przez

portal zdążyłem napisać informację: „Oddaję zgubę”. Jednakże tego dnia wiał silny wiatr, więc najprawdopodobniej wiadomość została porwana w świat. Rano, gdy wróciłem czekał na mnie ojciec. W tamtych czasach król Willhelm wraz z królem niebieskich istot byli przyjaciółmi. Znając tatę wiedziałem, że będzie chciał przywłaszczyć sobie bursztyn, dlatego nie powiedziałem mu o skrytce. Na obronę miałem tylko wytłumaczenie, że zgubiłem bursztyn. Kilka miesięcy później król Willhelm zauważył brak antyku. Po długich latach poszukiwań, zostaliśmy oskarżeni o kradzież. Od tamtej pory żaden Rybocząwiek nie ujrzał ani kawałka ziemi Lęborskiej.

Gdy młody chłopak skończył opowiadać, starzec powiedział rozżalonym głosem:

- Król Willhelm nie żyje od ponad dziesięciu lat.

Nagle na twarzy nieziemskiej istoty ukazał się smutek. Po chwili rybak przedstawił mu historię Bluszczan:

- Od czasu śmierci króla bluszcz porósł wszystko. Niestety wyrządził mnóstwo szkód i wielu ludzi uwięził we własnych domach. Między innymi naszą władczynię. Jedyną rzeczą na uwolnienie Damy i całego miasta od zguby jest Bursztynowe Serce.

Nastąpiła chwila ciszy. Po krótkim czasie odezwał się znów głos mieszkańca Lęborka:

- Może poszedłbyś ze mną poszukać bursztyny? Na pewno pamiętasz miejsce ukrycia serca.

- Niestety, nie mogę przekroczyć granicy waszego miasta.

- Jest ciemno. Nikt nie zauważy - wyjaśniał Władek.

- No nie wiem... - odpowiedział przygnębiony.

- Ale tylko na chwilę.

Po kilku minutach drogi przed ich oczami ukazał się Lębork. Rybocześnik był bardzo poruszony widokiem miasta. Od razu przypomniał mu się zapach świeżo wypiekanego pieczywa. Dostrzegł wielką zmianę. Miał ogromny sentyment do żabiej fontanny. Gdy spojrzał na nią, o mało nie zalał się łzami. Cała jej powierzchnia okryta była bluszczem. Po dwugodzinnej wędrówce w końcu stanęli przed Basztą. Jednakże Rybocześnik nie mógł sobie przypomnieć, gdzie ukrył Bursztynowe Serce. Zauważył jak mały bluszcz zamienił się w gruby łańcuch. Minęło kilka godzin. Poszukiwania nie przyniosły żadnych efektów. Nastawał ranek, słońce zaczęło wschodzić. Oboje usiedli i zaczęli rozmyślać. Nagle oczom Rybocześnika ukazał się blask. Na początku nie zwracał na to uwagi, ale potem światło dawało wyraźniejsze znaki. Zmartwiony chłopak spojrzał na zarośla, gdzie ku jego oczom ukazał się blask. Z wielką siłą rozepchnął pnącze i niebawym cudem odnalazł bursztyn. Natychmiast zawołał przyjaciela:

- Władek, spójrz!

- A niech mnie! - krzyknął rybak.

- Uratowałeś nas.

Zbliżała się ósma. Nagle zza okna wyjrzała Bluszczowa Dama. Jej oczom ukazał się brodaty starzec wraz z młodym chłopakiem. Królowa bardzo zdziwiła się na widok cudownej istoty i zapytała:

- Co was do mnie sprowadza?

Po chwili zza pleców Rybocześnika wyjął Bursztynowe Serce. Dama na widok przedmiotu aż podskoczyła. Jej oczy mieniły się blaskiem jakiego dawno nikt nie widział. Po chwili młody chłopak rzucił ku niej bursztyn. Królowa zamknęła oczy i wypowiedziała słowa, których świat

jeszcze nie sływał: „Kto koło Baszty w ciszy się pokłoni, ten swój wzrok na zawsze zadowoli”.

Po pewnej chwili Lębork zaczął budzić się do życia. Wszystkie pnącza zaczęły pękać a ludzie wychodzić z domów. Wszystko wróciło do dawnego wyglądu. Bluszczowa Dama pokłoniła się i z całego serca podziękowała młodemu chłopcu. W nagrodę za ocalenie zezwoliła na przebywanie Ryboludzi w mieście. Obiecała również podzielić się z nimi Bursztynowym Sercem. Od tamtego czasu wszyscy żyli z zgodzie, a Lębork istnieje do dziś.

Alicja Zinkel – wyróżnienie

10-12

Alet

„O Annie, która dostała Lębork”

W mieście Lewno Mściwój rycerz, marne chuchro, płacze rzewnie od tygodni :

-Oj kamraci moi mili, cóż uczynić mam z swym losem? Kocham piękną Białogłową, choć zaloty me są marne. Toć to sługa jest na Dworze, służy u stóp Królowej naszej...

-Cóż poradzić mamy tobie? Mało mamy na swej głowie? Tu szykuje nam się bitwa! A ty lepiej počwicz sobie. Koń twój sam walki nie wygra!

Mściwój rycerz dzielnie ćwiczy, szablą dzielnie wymachuje, lecz gdy przejdzie piękniczka nagle lament swój wtóruje :

-Piękna jesteś moja Pani, gdybyś tylko ty wiedziała, jak me serce się raduje, gdy cię widzę. Chcę choć poznać twoje imię...

Lecz ta służka, sprawy sobie nie zdawała i codziennie dla swej Pani bardzo ciężko pracowała.

-Anno, kąpiel mi przygotuj, nie zapomnij dodać róż... Przynieś mi najlepszą suknię i swej Królowej dzielnie służ

-Moja Pani najwspanialsza, lecę robić co mi każesz

I tak mijał czas na zamku. Mściwój szablą wymachiwał, Anna suknie odświeżała. On ją kochał, ona nie wiedziała...

Nadszedł dzień wielkiej bitwy, o ziemie i zamek królewski. Zamek ten jest przeogromny, piękny i wyniosły, z czerwonej cegły wzniesiony, na Przedzamczu się mieści.

Wpadli wielcy wojownicy, kurz unosił się w powietrzu, wróg przekroczył mur obronny. Czy to już koniec, dobry człowieku?

Nie! Rycerstwo w tym królestwie (choć niektórzy drobne chuchra) jest doprawdy bardzo dzielne, walczyć o swe dobra umie! Bractwo rycerskie, w całej swej krasie, walczy, wojuje, ile ma sił! Mściwój już nawet męstwa nabrał, siły zuchwałej i odwagi.

Lecz już wróg dosięga zamku, cóż to będzie za tragedia!

Wtem Królowa woła Annę :

-Anno, wierna ma służąco, mam do ciebie wielką prośbę. Weźmiesz wszystkie dokumenty i symbole me królewskie, schowasz wszystko to przed wrogiem.

Na to król sam osobiście, woła głośno i dosadnie :

-Niechże przyjdzie tu ów rycerz, który bardzo jest odważny.

Mściwój zgłosił się niechętnie :

-Królu mój, mościwy panie, cóż rozkażesz, ja to spełnię. Mogę nawet oddać życie, bo jest marne. Ciągłe moje serce mówi, że mam kochać pewną pannę, ale ona niedostępna, ma zadanie bardzo ważne, służyć ma królowej swojej, nie opuszczać jej na krok, więc na co jej mój zakochany wzrok?

-Rycerzu dzielny, zadanie masz ważne, chroń mój miecz koronacyjny i pilnuj służki mej żony uważnie. Niej jej włos z głowy nie spadnie. Schowajcie się z dobrami przed światem, a gdy bitwa ucichnie, sprawdźcie, kto zwyciężył i oddajcie je w odpowiednie ręce.

Jak Król kazał, tak rycerz uczynił. Lecz nie wiedział, iż ów służką była Anna.

Mściwój szybko wszedł do skarbcza, przecież wróg był już u bram, zabrał miecz koronacyjny i odwrócił się do dam, patrzy, a u boku Pani stała ona, Białogłowa...

-Cześć Królowo Ci oddaje, bronić dzielnie będę dóbr i twej służce dam oparcie, tylko plan mi powiedz swój.

-Idź do Baszty, tej oszklonej, tam schodami na dół zejdziesz, tam znajdziecie ścianę z cegły, w drzwi tajemne szybko wejdź. Tam tunele będą długie, idź przed siebie i nie zbaczaj, pilnuj Anny, to twój cel. Dojdiesz do podziemnej krypty, tam bezpiecznie schowacie się, damy wam zapas jedzenia. Nie wychodźcie jak nie trzeba!

Jak kazano tak zrobili. Gdy już doszli do tej krypty, wnet poznali dobrze się. Mściwój miłość swą ukrywał, miał obawy że Anna zniechęci się. Annie serce też zbiło, urzekł ją odwagą swą.

Nadszedł dzień końca boju, cicho wnet zrobiło się. Anna rzekła :

-Chodź Mściwoju, ujawnijmy wreszcie się!

Tunelami szli do baszty niosąc jabłko, berło, miecz, zwój papierów i miłości serca pełne...

Tam na placu przed Zamkiem wielka radość się roznosi, Król z Królową są szczęśliwi, wielki bój wygrali znów. Mściwój z Anną idą raźnie, z uśmiechami, niosąc dobra przenaświętsze...

-Witaj Królu mój cudowny i o Pani ma wspaniała, razem z Anną piękniczką zrobiliśmy jak nakazaliście, tu są wasze dobra czcigodne.

-Mściwoju za swój wielki trud, możesz wybrać swą nagrodę.

-Królu mój kochany, chciałbym Annę za mą żonę, kocham tę piękniczkę chyba całe swoje życie.

-Jeśli Anna zechce cię, zwalniam ją z bycia służącą, choć służyła dobrze nam.

Mściwój spojrział na wybrankę, ona uśmiechnęła się, pokochała bowiem Mściwoja, spędzając z nim ostatnie dni.

-Czas na zaślubiny przyszedł. A po ślubie z tej radości wybudować trzeba zamek, w łebie teraz mieszkać chcę, a ty, Anno, boś tak dzielna dostaniesz ziemie tę. One należały do mnie, bo w posagu miałam je. Dziś ty jesteś tu królową, nazwij proszę miasto swe.

-Dzięki ci Pani wspaniała, spolszczę nazwę terazniejszą, już nie będzie miasto Lewno, teraz będzie miasto Lębork

Jak mówiła, tak zrobiła, zamieszkała w zamku z cegły razem z mężem swym Mściwojem. I rządili tak oboje, dzielnie i roztropnie, w mieście swym Lęborku.